Nr. 24. Lwów, 15. grudnia 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Moje pierwsze dwa jelenie.

(Dokończenie).

Po bardzo długim marszu od Mszanki przez górę Tarnicę i połoninę „Wielkie pole“, dotarłem koło 8-ej wieczorem do koliby, do zupełnie przesuszonego obiadu, lecz w górach wszystko smakuje, więc i to się zjadło. Uchwaliliśmy z Franzem iść na grzbiet Tarnicy, ku zachodowi, bo człowiek posłany rano do Ludwikówki, przyniósł wieść, że w grubym lesie silnie ryczały dwa jelenie.

Więc o 4-ej rano już będąc na nogach, dnia 23-go września wyruszyłem na lewo od „Wielkiego pola“ ku zachodowi.

Niestety do 8-ej rano żadnego ryku słychać nie było, więc zeszedłszy aż na sam dół, postanowiłem wracać, i znowu tą samą drogą kamienistą przybyłem aż na sam szczyt. Zimno było okrutne, wiatr dął mroźny, ziemia była na kość zamarznięta. Widziałem tam świeże tropy niedźwiedzia i liczne ślady wilków, to mi dodawało otuchy, więc postanowiłem przez gruby las, od zachodu dostać się na ten sam zrąb, na którym dnia 29-go września, w niedzielę, tyle jeleni widziałem. Zdawało się, że to droga łatwa, bo kłód mało w podniosłym lesie, mech na ziemi i to przejście z góry na dół, zboczą na skos, nie będzie bardzo uciążliwem. Zawiodłem się jednak, bo przyszedłem na tak stromą ubocz, że trzymając się rękami o drzewa i zwisające gałęzie ledwie zdołałem zejść na kraj grubego lasu i zrębu. Zaraz przy grubym lesie usłyszałem słabo odzywającego się jelenia, posunąłem się aż do klombika świerków małych i stamtąd zacząłem się okolicy przypatrywać. Jeleń w parowie odzywał sie od czasu do czasu, lecz go widać nie było. W parowie, na 50 kroków przedemną, pasły się dwie łanie i dwoje cieląt, a nad niemi, na kraju

lasu stał szpiczak, który łakomym wzrokiem spoglądał to na pasące się łanie, to znowu fiksował parów. Widać, że tam sułtan spoczywał, bo stamtąd głos jego wychodził. Stałem już blisko godzinę i grzałem się do słońca, będąc pewny, że władca tej góry zbliży się do łań. I rzeczywiście wyszedł z parowu i drugą stroną zdążał ku łaniom, lecz niestety był to tylko widłak. Przeszedł koło mnie na 20 kroków i tak jak szpiczak patrzał ciągle w parów, a gdy się tylko jeleń odezwał, głowę spuścił i badał przepaść, gdy tamten nie głosił, podchodził zwolna do łań, które na niego chętnym wzrokiem patrzały. Ale jeleń nie poszedł jego śladem; widocznie zmęczony leżał i grzał się do słońca, zaspokoiwszy rano swe żądze. I bez przeszkody przyszedł widłak do łań i zwolna całe towarzystwo weszło do grubego lasu, na południowy spoczynek, głos zaś jelenia ciągle się oddalał, wreszcie ucichł, widziałem go już na dole, gdy poszedł do zuli i w niej się położył.

Nie było mowy o podchodzeniu, to też wróciłem do koliby. Zjadłszy wcześnie obiad, już o 1-ej postanowiłem wyruszyć w stronę południową góry Tarnicy, po pod Ukernę, ponad potokiem Perebyte, tam słyszałem jelenie, wstępując środkowym grzbietem na Tarnicę pierwszego dnia. Straszliwie kamienistą drogą szliśmy aż po pod Ukernę, z tego szczytu widać było połoninę Wielkie pole, a po niej dwóch ludzi idących.

Był to Stadnicki z swym przewodnikiem, który od półtora doby na Girganie, nie przyszedłszy do strzału, wracał szybkim, niezmęczonym krokiem do koliby na obiad. Wyobrażam sobie, jaki był głodny, bo oprócz skromnej zimnej przekąski od wczoraj wieczór, nic nie miał ze sobą. Lecz dla niego to nic wielkiego, on wytrzymalszy od nas młodych i chodzić półtora doby i cały ten czas nie jeść, lekko mu przychodzi. Zeszedłem tym szczytem południowym aż na dół, mogłem zrobić dublet do dwóch szóstaków, które ruszyłem pod szczytem, lecz nie przyszło mi na myśl nawet do nich się złożyć. Zaszedłem dwie łanie z cielęciem, śpiące do słońca na samej górze, ale bez jelenia. Jeden tylko w potoku Perebyte się odzywał, na samym dole i to bardzo źle, widocznie jeszcze leżał i zwoływał swe żony, rozpierzchłe po górze. Nie warto go było podchodzić, gdyż daleko i nie dobrze ryczał. Postanowiłem iść aż na dół, ku granicy naszego terytoryum, zbadać niższy stok góry. Tam nawet spotkałem barona von Vede, posła holenderskiego we Wiedniu, który ze synem polował przy szluzie, zwanej „Beskid“ i wracał, doszedłszy do naszej granicy. Wróciłem więc ku górze, by tam spróbować szczęścia i puściłem się w kierunku tym do potoka Perebyte, gdzie mi się z południa jeleń odezwał. Zrąb był odkryty, gdzieniegdzie małe świerki stały rozrzucone lub tworzyły małe klombiki. Chodzenie było łatwe, bo grunt nie kamienisty, pochyłość mniej znaczna i mech obfity pokrywał ziemię. Idąc dalej zobaczyliśmy znowu szpiczaka, który się kręcił niespokojnie w kółko i uporczywie patrzyl w potok Perebyte. Myślałem znowu, że tam jeleń leży, bo nam tam się pierwej odezwał. To też, gdy tylko szpiczak na nas się nie patrzał, spuszczaliśmy się szybkiemi kroki od klombu do klombu świerkowego. Już od szpiczaka dzieliła nas przestrzeń tylko 500 kroków, a on ciągle zaglądał w parów. Nareszcie wychodzą z niego dwie łanie i dwoje cieląt, pasą się i rozglądają, wreszcie zbliżają się do szpiczaka. W tem zaryczał potentat tej góry, widząc swe niewolnice oddalające się od niego w kierunku młodego rywala, lecz nie poszedł za niemi, ryczał w miejscu. Jak długo to trwało, nie wiem, ale pewnie z godzinę. Długo stałem, a łanie się pasły, trwożliwie ku parowowi się oglądając, nareszcie widząc, że w parowie cicho, pomknęły ku górze i zbliżyły się do szpiczaka.

Tego było jeleniowi za dużo; ryknął raz, drugi i trzeci, widząc swe podwładne, idące szukać niedozwolonych uciech w towarzystwie młodego kawalera. Korzystając z tej chwili, podbiegłem znowu ku parowowi kilkaset kroków i już nad parowem stoję, już jestem schowany za klombem smereków o 200 kroków nad potokiem, gdy znów potężny ryk się odezwał, a jeleń ze złością wstrząsnął drzewkiem — słyszę jak w gniewie wali o drzewo rogami. W tem Franz, który stał wyżej odemnie, o kilkaset kroków, woła na mnie: „niech pan biegnie ku parowowi, jeleń zdąża za łaniami, widzę końce jego rogów“. Nie trzeba było mi tego powtarzać, więc całym pędem biegnę ku parowowi, ubiegłem może 80 kroków, póki mi się nie ukazał jeleń, z głową na dół, w galopie przepyszny, jakby godził w szpiczaka, opodał stojącego. Jeleń był w najwyższym pędzie, ja w tem samem tempie; gdy się odemnie obrócił na kulawy sztych, strzeliłem. Jeleń padł, zerwał się i sadzi na sztych na mnie, na 60 kroków strzeliłem go drugi raz, znowu się potknął i już zataczając się, poszedł 20 kroków, stanął dęba i na znak się zwalił, druzgocząc wszystko pod sobą. Rzucił jeszcze parę razy głową i legł bez życia. Takiej chwili nie miałem w życiu, takiego widoku opisać nie zdołam! bo to przechodzi siły mego pióra! Całe podejście było przypadkiem, dlaczego szpiczak mnie nie zobaczył? dlaczego biegnąc z góry, jelenia nie spłoszyłem? dlaczego nie chybiłem, pędząc zdyszany, galopem idącego jelenia? to tylko św. Hubertowi wiadomo! lecz tak być miało, ten jeleń miał zginąć z mojej ręki i to w tak ciekawych okolicznościach. Zrobiłem nietylko najpiękniejszy strzał w życiu, ale miałem najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek myśliwy miał; bo strzał do szarżującego jelenia na rywala. Lecz po tej wzniosłej, nadziemskiej chwili, gdy jeleń stanął dęba i runął w moich oczach, przyszła krótka chwila rozczarowania. Oto Franz przyszedł do mnie zadyszany, lecz nie uszczęśliwiony, powiedział mi bowiem:

„Herr Graf schiessen miraculos! aber das ist ein sehr schwacher Hirsch, ich glaube ein Achter“. Byłem wprawdzie pewny, że to gruby jeleń, bo miał bardzo grube rogi, ale zawsze taka mowa po strzale, nie miłe mi zrobiła wrażenie. Zapaliłem papierosa, by przeczekać, aż jeleń zginie. Widząc jednak, że się nie rusza, zacząłem schodzić ku niemu, a Franz idąc za mną i patrząc na jelenia, ciągle wątpił i mówił: „ein starker Achter“, po 10 krokach zaczął go licytować i znowu powiedział: „o nein, es ist ein Zehner“, a gdy byliśmy już przy jeleniu, zawołał uradowany: „Aber das ist ein prächtiger Zwölfender!“ I rzeczywiście był to jeden z najpiękniejszych dwunastaków, o metrowych rogach, w długość i szerokość i o bardzo grubych wieńcach. Czem był specyalnie piękny, to tem, że wszystkie jego dolne odnogi w liczbie sześciu, tworzące wieniec naokoło głowy, były zupełnie równe. Korona bardzo gruba, a wyższe odnogi krótkie. Trafiłem go w krzyż pierwszą kulą, która

poszła ku przodowi, a drugą dostał w nerki, obie expandowały i straszliwe wewnątrz spustoszenia zrobiły tak, że cały krąg grzbietu był strzaskany w drobne kosteczki, płuca również były odłamkiem kuli naruszone. Jeleń ten miał grandle, był jednak w ciele mniejszy od poprzedniego mego jelenia. Lecz ten mi zrobił kolosalną radość, bo strzał prześliczny i rogi wspaniałe, czarne z białymi końcami. Wypatroszywszy jelenia na miejscu, postanowiliśmy wrócić potokiem, a od końca potoku mieliśmy tylko jedną górę do przebycia, aby stanąć w kolibie. Zeszedłszy na dół, zastaliśmy drogę wcale dobrą, a na jej końcu jeszcze nie spruchniałą ryzę, którą bardzo dobrze dostałem się do koliby. Upojony szczęściem, z radości nie mogłem mówić, by Stadnickiemu, który wyszedł na me spotkanie, aż do lasu, gdyż słyszał me strzały, opowiedzieć całe zdarzenie, które tak szczęśliwie zakończonem zostało. Była godzina 5-ta wieczór, gdy jeleń padł. Przyszedłszy o 6-ej do koliby, posłałem ludzi po rogi i skórę jelenia, bo mieliśmy jutro ze świtem ruszyć na Girgan i tam wspólnie ze Stadnickim, pod gołem niebem przenocować i ostatnie dwa dni poświęcić tym dwom dużym jeleniom na Girganie, które posiąść było naszem pragnieniem. Mieliśmy zwinąć nasz obóz na Tarnicy i przenieść się na Girgan, na łąkę Mszankę, gdzie prowizoryczna koliba istniała, a którą ludzie nasi mieli trochę na noc oporządzić.

Radość moja po zabiciu jelenia nie da się opisać, i nie może dziwić, po dojściu do takiego celu, lecz radość mego dobroczyńcy hr. Stadnickiego była tak wielką, że przewyższała moją. Inny by zazdrościł, ale nie on, ten, wzniosły charakter, zamiast ubolewać nad swem niepowodzeniem, cieszył się mem szczęściem jak swojem własnem. O jakże mało takich przyjaciół spotyka się już dziś, a gdy się ich w życiu spotka, czyż zdoła się ich ocenić należycie?

Tak błogiej nocy nie przespałem nigdy, tak słodkim snem nigdy nie wypocząłem, jak dziś. Przykrem mi było nawet przebudzenie przez Michała o 2-ej w nocy, które przerwało to senne marzenie, ten sen uroczy, po tak wzniosłym wypadku dnia wczorajszego. Przy herbatce zaproponowałem Stadnickiemu, aby wziął ze sobą Franza, a mnie zostawił starego Wernera, gdyż może to Franz ma spotkanie, a nie ja, również wytłumaczyłem Stadnickiemu, że mój przewodnik ma doskonałe oko, lepiej zna ścieżki i płaje jelenie i w ogóle ma więcej sprytu myśliwskiego, niż stary Werner. Tak się też stało. Poszliśmy razem przez długie pole i kamienistą ścieżką popod Jajko, wzdłuż granicy perehińskiej, aż do Mszanki, gdzie ryczał przed dwoma dniami szesnastak, którego widziałem. Ruszyłem więc wolno zupełnie, jeszcze w nocy przy świetle księżyca, granicą perehińską ku szczytowi. W połowie góry zaczekałem, aż się rozwidni. Zaraz usłyszałem silny ryk jelenia, o jakich 100 kroków odemnie. Gdy się jaśniej zrobiło, poszedłem zaraz za nim; ryczał ciągle silnie bardzo i długo. Podchodzenie było łatwe, gdyż mech we wielkim lesie tłumił nasze kroki i nie trzeba było iść wyżej. Wychodząc więc z grubego lasu, zastałem łączkę suchemi trawami pokrytą, w odległości 40 kroków, mały klomb świerczyny. Za nim musiał stać jeleń, gdyż ryk władcy stamtąd się rozchodził. Stałem przez chwilę, nie chcąc wychodzić na łąkę; ryk nie ustaje, lecz zbliża się ku mnie. Czuję, że to pierwszy ryczący jeleń, który idzie ku mnie, że ja na niego muszę zaczekać i podchodzić go nie potrzebuję.

Stałem więc, może pięć minut całkiem spokojny, zakryty i oczekiwałem aż w zapale największego ryku przepiękny zwierz przyjdzie do mnie. I rzeczywiście, już go słychać za świerczyną, już kłęby pary podczas ryku wznoszą się do góry po nad świerki, już z odwiedzioną strzelbą stoję złożony, czekam, z której strony klombu wyłoni się jeleń. Rzucam okiem na prawo, widzę kontury jelenia — to łania wolnym krokiem posuwa się ku górze — składam się, będąc pewny, że za nią podąży jeleń, nic nie wychodzi, ale ryk nie ustaje, straszny, potężny aż ziemia się trzęsie. Rzucam więc wzrokiem na lewo, a tu wygląda pysk otwarty jelenia, który ryczy ciągle, potem pokazują się uszy, szyja, a jeleń posuwistym krokiem cały wychodzi! Rogi położył po sobie, pysk zadarł do góry i ryczy, a para bucha mu z pyska. Był całkiem ciemno-brązowy, z ogromną grzywą.

Przyłożyłem sztuciec do ramienia, wymierzyłem w komorę spokojnie i strzeliłem. Jeleń runął od razu, lecz zerwał się i zaczął to w tę, to w ową stronę skakać; strzeliłem z drugiej lufy podczas jednego ze skoków, jeleń zwolna poszedł ku górze. Przed gąszczem stanął, obrócił głowę w moją stronę i popatrzył na mnie, ale takim wzrokiem męczennika, wzrokiem takiego wyrzutu, jakby mówił, po co tu przyszedłeś, czemu przerwałeś mi mój hymn miłośny, dlaczegoś mnie zranił? Ten wzrok mam ciągle przed oczyma, nigdy go nie zapomnę, bo wyraz miał pełny boleści i wyrzutu. Strzelałem na 40 kroków na czystem, nie pojmuję tego strzału do dziś dnia, bo jeleń albo powinien był paść odrazu, lub szybkim galopem powinien był ujść w górę. Dlaczego on poszedł wolno, stanął i oglądnął się na swego wroga? Poszedłem zaraz w miejsce, gdzie go ostatni raz widziałem. Zaraz znalazłem obfitą farbę, która tylko z jednej strony wydzielała się, więc kula expandowała. Jeleń ciągle szedł w rozmaitym kierunku, raz w lewo, drugi raz w prawo i ciągle wolno, gdyż farba widoczną była tylko po trawach, a nie na drzewach. Szukaliśmy jej nieco w niektórych miejscach za długo, gdyż przerywał, potem znów więcej farbował. Potem przelazł przez dwie kłody i więcej farby nie znalazłem, pomimo poszukiwań kilkugodzinnych. Werner utrzymywał, że poszedł płajem ku wielkiemu lasowi, bo miał znaleść jakieś dwie brązowe plamy na kamieniu, ja zaś utrzymywałem, że poszedł ku dołowi w gąszcze. Żałuję, że go posłuchałem i poszedłem płajem, grubym lasem ku szczytowi Girgana, a w dole dalej nie szukałem. Farba przepadła. Obszukawszy na ślepo cały gruby las na Girganie, zmęczony zasiadłem do śniadania, bo byłem bardzo głodny, gdyż od 6-ej rano, gdy strzeliłem do jelenia, chodziłem do 2-ej popołudniu. Posiliwszy się, zdrzemnąłem się pod promieniami słońca, a o 4-ej w bardzo złym humorze, poszedłem dalej ku potokowi Białokrynicy, w nadziei, że się może spotkam ze szesnastakiem, który z pod kamienia ruszył w kierunku Girgana.

Zadawałem sobie pytanie, gdzie mogłem trafić jelenia, który tak mało i krótko farbował. Wymierzyłem jak w tarczę, strzeliłem blisko i spokojnie, a tu takie fiasko, po dwóch trudnych strzałach do jeleni. Takie mnie ogarnęło zniechęcenie, że już nie chciałem podchodzić ryczących jeleni, które od szczytu słychać było,

bo dzień był cieplejszy, więc jelenie ku górze się posunęły. Musiałem jelenia zgórować i trafić po pod krzyż, nie naruszając kości, ale znowu, jak wytłumaczyć farbę z jednego boku. Kula zatem musiała expandować, dlaczegoż części jej nie zrobiły tej dewastacyi, którą zwykle robi kula expandująca. Wytłumaczyć sobie tego nie potrafię, bo jelenia nie ma i nie będzie.

To czarna strona mojej wycieczki, rzucająca cień na dwa, śliczne strzały poprzednie!

Jak już wspomniałem wyżej, poszedłem jeszcze ku potokowi Białokrynicy, gdzie mój znajomy ryczał, ów szesnastak, co już łanie od niego stroniły, ale ryczał z drugiej strony potoku. Postanowiłem go podchodzić i przyszedłszy nad potok dość wąski, widziałem jakąś rudą plamę, zdawało mi się, że to on, bo ryk stamtąd pochodził. Później plama znikła, a wyżej widziałem uchodzącego jelenia grubego, z małą sztuką, drugim szczytem góry. Werner, który stał wyżej odemnie, twierdził, że to jeleń stał i patrzał na mnie i wyraźnie mu rachował pięc odnóg w koronie i dziwił, się że go nie strzelam.

Dzień pełen niepowodzeń! Zły i zgryziony, wolnym krokiem, bo już było po 5-ej, ruszyłem ku dołowi, aby ścieżką dostać się na łąkę Mszankę, gdzie stała improwizowana letnia koliba. Tam część ludzi naszych miała zejść, obiad i nocleg nam przygotować. Zeszedłszy na dół, spotkałem się ze Stadnickim, któremu nawet Franz nie przyniósł szczęścia, gdyż przez cały dzień nic nie widział. Opowiedziałem mu cały, najnieszczęśliwszy epilog mojej wyprawy, czem zmartwił się bardzo, żałując, żem na zakończenie naszej wycieczki, nie położył tego, trzeciego jelenia. Lecz tak być miało, byłoby za dużo szczęścia dla mnie, gdyby się było powiodło. Wśród narzekań, doszliśmy na Mszankę, gdzie nas obiad oczekiwał, lecz nam nie smakował, bo cóż może być przyjemnego myśliwemu po chybionym i niefortunnym strzale. Źli, zgryzieni i zmęczeni położyliśmy się spać, aby jutro jeszcze pójść za dnia na rykowisko, a koło południa zejść ku Prawiczy i jej korytem wyjść popod Tarnicę do leśniczówki, gdzie na nas konie czekać miały.

Ludzie nasi mieli wrócić do pierwszej koliby, zabrać rzeczy i tak samo jak przybyli, wrócić do Ludwikówki.

Więc ostatni pochód nasz na Girgan zaczął się 25-go września. Stadnicki miał pójść górą, ja zaś dołem. O brzasku rozeszliśmy się. Ponieważ jakiś jeleń ryczał na Tarnicy, ponad koliba, poszedłem na poprzek zrębu Tarnicy, ku Girganowi, wśród kolosalnych złomów i gałęzi; był to jeden z najbardziej męczących pochodów, jakie w tej wycieczce miałem i to bez żadnego możliwego rezultatu, bo jelenie wybrały się z powodu spodziewanego upału na szczyty, więc w połowie stoku żaden się nawet nie odezwał. Zmęczony przeszedłem całą Tarnicę dołem i górę Girgan i w ogóle nic nie słyszałem, oprócz szumu rzeki Prawiczy, wzdłuż której zeszedłem aż do granicy naszego rewiru, oczekując tam przybycia Stadnickiego. Stąd razem mieliśmy iść do leśniczówki najbliższej, gdzie na nas fura czekać miała w południe.

Stadnicki bardzo zajmujący dzień miał i jak mi opowiadał niezwykłe spotkanie, bo gdy wyszedł o brzasku z koliby z Franzem i szedł granicą perehińską, spotkał się, oko w oko, z niedźwiedziem, strzelba jednak nie była nabita i nim zdołał włożyć ładunki, niedźwiedź ruszył na Girgan, w dół ku Tarnicy. Tropy jego widziałem tego samego ranka na kłodzie, przez którą przełaził i trop był dużo większy, niż stopa u dorosłego chłopa. Stadnicki przeczuwając, że dzień będzie gorący, ruszył odrazu ku samemu szczytowi Girgana, przebył tę szaloną drogę wśród ogromnych głazów kamiennych, których ja dwa dni temu się przeląkłem i dostał się nareszcie na połoninę, gdzie zobaczył jelenia, największego jakiego w życiu widział. Jeleń stał w gąszczu w kosodrzewinie, widać mu było tylko grzbiet i rogi, które doskonale obrachował; był to kolosalny ośmnastak. W chwili, gdy go zamierzał podchodzić, wyskoczyła na połoninę olbrzymiej wielkości łania, która mu ogromem swoim zaimponowała. Niestety, łania go zwietrzyła, beknęła trzy lub cztery razy, ostrzegając swego wieloletniego małżonka, on jej głuchym głosem odpowiedział, dając znać, że rozumie o co chodzi, że tu grozi niebezpieczeństwo i cichaczem wyniósł się ku dołowi.

Gdy Stadnicki chciał mu połoniną zabiedz drogę, wyskoczyły z tej samej kosodrzewiny trzy pary jeleni, zdaje się dzieci prastarych rodziców, bo ósmak, szóstak i widłak, każdy z mniejszą łanią. Tak to bywa i w świecie jelenim: stary romansuje z babcią, a młodzi z młodymi. Piękny to musiał być widok tych czterech par jeleni, żałuję bardzo, że tego sam nie widziałem.

Na tem się kończy wycieczka nasza. Piękna była, nie przeczę, ale o ileby piękniejszą była, gdybym był trzeciego jelenia dostał i gdyby ten ośmnastak był wyszedł na połoninę, za tą ogromną łanią. Wtenczas ręczę, że byłyby jego wieńce kolosalne zdobiły salę jadalną we Wielkiej Wsi, bo Stadnicki to mistrz w strzelaniu kulami.

Oby Bóg mu dał siły i zdrowia do roku przyszłego, by tak lekko mógł się dostać na szczyt Girgana, a kończę życzeniem, aby jeszcze ośmnastak tam królował, a pewnie dwudziestakiem Św. Hubert obdarzy mego łaskawego towarzysza, co mu się przecie należy, za tyle życzliwości, którą mnie w tym roku okazał, a za tyle niepowodzeń, których w tym roku doznał.

Olejów, w październiku 1902.

Aleksander hr. Wodzicki.



Tępienie lisów.

Wiadomo powszechnie, jakie szkody wyrządzają lisy w zwierzostanie, osobliwie w porze lęgu. Myszami żyje lis tylko wtedy, kiedy nie ma nic lepszego, w jesieni zresztą, kiedy mu trudniej o zająca i kuropatwę — a łatwiej o myszy na ścierniskach. W zimie, gdy śnieg mały, mniej szkody lis wyrządza i w konieczności poluje na myszy — ale, jak długo pola pokryte zbożem, lis z pewnością o myszach nie myśli. Kto temu nie wierzy — niech rozkopie na wiosnę jamę lisią, w której są młode, a przekona się wtedy, co liszka swojej wiecznie głodnej progeniturze przynosi.

Taka rozkopana jama i masa szczątek młodych zajęcy i kuropatw, na gnieździe złapanych, zgrozą mnie zawsze przejmuje, to też zaprzysiągłem nieubłaganą zemstę lisiemu rodowi i prowadzę z nim nieustającą wojnę. Że zające i kuropatwy do szczętu nie wyginęły tam, gdzie lisów racyonalnie nie tępią, przypisać należy ochronie naturalnej jakiej użycza natura swoim tworom. Podczas lęgu kuropatw tak mało się wydziela emanacyi (scentu) t. j. naturalnej woni (czy jak to nazwać), że nie łatwo ją zwietrzy nawet lis posiadający nos, którego by mu każdy pointer mógł pozazdrościć. Przekonałem się o tem dowodnie, wyszukując z bardzo dobrymi psami w koniczach gniazd kuropatw i bażantów — aby je od zniszczenia uchronić. Psy — które we właściwej porze wietrzyły pojedyncze nawet kuropatwy, na kilkadziesiąt kroków — wobec kuropatw na gnieździe siedzących, dziwnie słaby wiatr okazywały. Tak samo i pisklęta mało mają scentu i bardzo trudno psom znaleść to maleństwo, gdy się do ziemi przyciśnie. Zająca także dość trudno psy wietrzą — zapewne nie jeden myśliwy to zauważył, że psy z doskonałymi nosami zawsze daleko krócej do zajęcy stają, niż do ptactwa.

Wobec upierzonych drapieżników, polujących na upatrzonego, broni przyroda dzieci swoje t. z. mimikri, to jest szatą doskonale przystowaną do otoczenia — tak, że je trudno okiem rozpoznać.

Gdy się zważy, że lis bardzo pilnie przeszukuje zboża — żadnej grudki, żadnego komysza nie pominie, musimy przyjść do przekonania, że ani brak scentu, ani mimikri, nie uchroni zwierzyny. Zresztą fakt — że każda spiżarnia lisia aż nadto dobrze jest zaopatrzona — dowodzi szkodliwości lisa.

Strzelanie lisów, czy to na polowaniach ogólnych, czy też specyalnych na otropione lisy i na nęciskach z budki, jest bardzo przyjemną rozrywką — ale do celu nie prowadzi. Zresztą poluje się zwykle tylko w zimie, więc $^{3}/_{4}$ roku mają lisy spokój. Trucie lisów strychniną tylko w zimie się udaje i wymaga gruntownej znajomości rzeczy. Lis jest bardzo przezorny, potrzeba więc się z tem liczyć; ponęta i powłoka musi być często zmienianą, gdyż z pewnością lisy tej samej trutki nie wezmą, gdy się jeden lub dwa lisy takową strują. Potrzeba wówczas i powłóczkę i ponętę zmienić. Lepsze rezultaty daje wykopywanie lisów młodych, nie jest to jednak także radykalny środek, zważywszy, że starych lisów zwykle się nie dostaje i że w każdym rewirze są także i takie jamy, z których z najlepszymi jamnikami lisów nie można wykopać. Są to albo jamy kamieniste, nie nadające się wprost do kopania — albo t. z. piątrowe, mające kilka kondygnacyi i masę wylotów. W takich jamach polowanie trwać może i cały dzień; jamniki przeganiają lisy z jamy do jamy i zwykle rzecz kończy się na niczem. Jedynym środkiem, nie wymagającym ani wielkich kosztów, ani wielu zachodów jest łapanie lisów w żelaza denkowe czyli talerzowe. Nie twierdzę wcale, aby jakąś knieję większą, można przez łapanie w żelaza zupełnie z lisów oczyścić. Tępiąc lisy wszelkimi możliwymi sposobami a więc strzelbą, jamnikami, strychniną i żelazami, jeszcze tej sztuki u nas w Galicyi z pewnością nie dokażemy. Można jednak racyonalnem i ustawicznem tępieniem dojść do tego, że lis stanie się faktycznie tylko okrasą polowania — ale nie głównym przedmiotem rozkładu — jak się to nieraz zdarza. Zapewne, że strzał do lisa jest bardzo przyjemny i znam myśliwych, którzy gwoli tej przyjemności nie tępią lisów zupełnie. Mają też parę lisów na rozkładzie, ale prawie nic więcej — a gdy z czasem knieja coraz bardziej pustoszeje, to i lisy się wynoszą, szukając bogatszych rewirów. Tem to się tłumaczy, dlaczego tak trudno lisy wytępić. W miarę jak się stan sarn zajęcy i kuropatw poprawia — w jakiejś kniei — ściągają się i lisy z dalekich nawet okolic.

W naszych rewirach tępimy lisy już od lat kilkunastu — mimo tego zawsze się jeszcze parę zabije na polowaniach zimowych. Ale gdy dawniej padało u nas po kilkanaście zajęcy, w kilkanaście strzelb — teraz strzelamy i po 150 jednego dnia — co tylko tępieniu drapieżców, a w pierwszej linii lisów mamy do zawdzięczenia.

Zanim przystąpię do opisu, praktykowanego u nas sposobu łapania lisów, radbym zapoznać szanownych czytelników z naszym systemem tępienia szkodników wogóle.

Każdy leśniczy rewirowy, wraz z podległą mu strażą, jest obowiązany do tępienia lisów i drapieżnego ptactwa, nie mniej włóczących się psów i kotów, za co otrzymuje dość znaczne strzałowe. Osobliwie w porze lęgu obowiązani są do wyszukiwania jam lisich i gniazd drapieżnych ptaków. Za zniszczone gniazdo, to jest zabicie obu starych ptaków, jak orłów, krzykaczy i jastrzębi, otrzymują po 10 koron — za każde zaś jajo, lub młode, po ubiciu obojga starych otrzymują po 2 korony. Jeżeli tylko jeden ze starych ptaków padnie na gnieździe, dostają tylko 4 korony — a za młode po 20 h. Za jamy lisie, po ubiciu obojga starych lisów otrzymuje straż 10 koron — za każdego młodego lisa wykopanego po 2 kor. i gratyfikacyę osobną za kopanie jamy dla pomocników 2 korony. Za jednego tylko lisa, zabitego przy jamie dostaje strażnik premię tylko 2 kor. — za młode tylko po 1 kor. Gdyby zaś strażnik jakie gniazdo lub jamę prześlepił — a znalazł je kto inny, lub gdyby się lisy, lub jastrzębie wywiodły w jego sekcyi — płaci strażnik karę w kwocie 10 koron. Wobec tego systemu wypłacania strzałowego, nie ma obawy aby się u nas lisy niepostrzeżenie wywiodły i aby strażnik przy odkrytej jamie nie siedział, jak przykuty, dopóki obojga starych nie zabije, lub nie złapie w żelaza. Zdarzało się nie raz, że przy jednej jamie zabijają więcej lisów — co dowodzi, że osieroconemi młodemi opiekują się inne, obce lisy i to nie tylko suki ale i psy donoszą żer młodym osieroconym, gdy z głodu szczekają. Zdarzyło mi się w tym roku, że po ubiciu obojga

starych przy jamie, psa i suki — miano kopać młode, małe jeszcze lisy nazajutrz. Aby obcy jaki lis nie wyprowadził młodych z jamy — zatkano wszystkie otwory i postawiono nadto jeszcze kilka żelazek na ścieżkach, prowadzących do otworów. Nazajutrz siedział jeden młody lisek w żelazie — jeden otwór był rozburzony i lisy z jamy wyszły — jak poznać można było z tropów na piasku, przeszły obok lisa złapanego — a był także trop i starego lisa. Dopiero za kilka dni znaleźliśmy naszych zbiegów w innej jamie, oddalonej o 2 kilometry od dawnej — przy której strażnik zabił starego lisa, a młode trzy złapał następnej nocy.

Po wybraniu wszystkich jam nie powinnoby być właściwie lisów, ani na lekarstwo, a przecież mimo tego, że się u nas lisy stanowczo nie wywiodły — złapaliśmy od wiosny po dziś dzień (nie licząc wykopanych i przy jamach zabitych) dwadzieścia i trzy lisy. Wszystkie one naturalnie przyszły do nas ze sąsiedztwa. Sąsiad nasz p. Kämpfe, ma osobnego strzelca Eliasza, do tępienia drapieżników — który doskonale łapie lisy. Wyłapał on w roku zeszłym, w trzech swoich rewirach t. j. w Rzyczkach, Lubyczy i Żurawcach około 70 lisów. Tego roku od wiosny ma złapanych kilkanaście. Zdawało się więc p. Kämpfemu, że zrobił z lisami u siebie tubulam rasam — czem się nawet trochę chwalił. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy na małem polowaniu na słonki — w jednym miocie wyszły na niego trzy lisy — a wogóle pokazało się tego dnia pięć. Z tej piątki padło trzy — jeden ciężko postrzelony, zapewne musiał zginąć. Za parę dni znów zrobiono polowanie na tego ostatniego Mohikanina — znaleziono jednak dwa, z których jeden padł, a drugi uszedł postrzelony. Dla pewności sprowadzono Eliasza, zajętego w innym majątku — do Rzyczek, aby spróbować szczęścia.

Pokazało się, że do tabula rasa jeszcze daleko — bo w kilka dni złapał Eliasz cztery lisy, a żaden nie był postrzelony — i ma nadzieję złapać ich jeszcze więcej. Zachodzą więc lisy z dalekich stron do lepszych kniei, nęcone łatwiejszą zdobyczą — i na nic wszelkie wysiłki podniesienia zwierzostanu, lub utrzymania go na odpowiedniej wysokości, jeżeli ręka w rękę z należytem karmieniem w zimie etc. nie idzie systematyczne, ustawiczne tępienie drapieżników, przedewszystkiem zaś lisów.

Łapanie lisów w żelaza dlatego nie rozpowszechniło się u nas, gdyż stawianie żelaz uważa się za jakąś czarnoksięską sztukę, dostępną małej tylko ilości wybrańców. Rzeczywiście, nie każdemu jest dane wyłapać lisy na żelaza karkowe (Schwanenhals). Potrzebne są przy tem systemie długie przygotowania; przez całe lato i jesień potrzeba podrzucać jakiemś stosownem miejscu n. p. na zacisznej halawie, wśród lasów padlinę i patrochy etc., aby lisy znęcić do tej miejscowości, potrzeba także w zimie — w porze najstosowniejszej do łapania na te żelaza — codzienuie robić powłóczki na znacznej przestrzeni, ku temu nęcisku prowadzące. Wszystkie te zachody wymagają wielkiego nakładu, czasu i trudu — a sama manipulacya ze skomplikowanem żelazem karkowem, wymaga wielkiej wprawy i ostrożności — aby myśliwy zamiast lisa, samego siebie nie złapał. Natomiast łapanie w żelaza talerzowe jest tak pojedyncze i łatwe, że się lada sprytniejszy trochę gajowy w jednej godzinie manipulacyi nauczy — i odpadają wszelkie misterya i długie przygotowania. Nie potrzeba nęcisk, ani powłóczek, a cały sekret polega w tem, aby łapać nie w lesie, ale na polach, łąkach, pastwiskach itp. miejscach, które lis w nocy za żerem odwiedza. Potrzeba też znać naturę lisa i pamiętać o tem, że lis wychodzi z lasu na pole, bardzo ostrożnie. Przed wyjściem w pole, staje on zwykle na brzegu lasu i bada wzrokiem i nosem okolicę, chodzi krajem lasu wypatrując, czy mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Otóż znając tę właściwość lisa i uwzględniając tę okoliczność, że wieczór i w nocy wiatr wieje zwykle od pola ku lasowi — a lis w wędrówkach swoich stara się zawsze iść pod wiatr — stawia się żelaza na 150 do 200 kroków pod lasem (od brzegu lasu). Witerunek ten (ponęta) kładzie się kilka centymetrów (3 – 4) poza żelazem, a mianowicie dlatego, że lis bardzo ostrożnie zbliża się do żelaza i na nią głównie zwracając uwagę, tem łatwiej w żelazo wstąpi. Nie zdarzyło mi się nigdy, aby lis wziął kiedykolwiek przynętę — i w tem właśnie cała sztuka, aby wpadł w żelazo za nim do przynęty dostąpi. Cała wyższość żelazek talerzowych nad karkowemi polega na tem, że lis nie potrzebuje brać ponęty w zęby — wiadomo bowiem, że lis nie bardzo skory do brania ponęty — najczęściej powącha tylko i pójdzie dalej zmiarkowawszy, że mu grozi niebezpieczeństwo.

Żelazka denkowego nie potrzeba smarować żadnym witerunkiem — odwietrza się je tylko, aby nie było czuć na nich ludzkiej ręki. Właśnie żelazo nie powinno się niczem zdradzać — tak, aby lis ani okiem ani nosem podstępu nie rozpoznał. Jeżeli żelazo czuć albo potem ludzkim, albo witerunkiem, w takim razie lis je odgrzebie i zmiarkowawszy, o co rzecz idzie, nie złapie się tak prędko.

Odwietrza się żelazo już używane, w które się poprzednio lis złapał, przez wygotowanie w ukropie — potem się żelazo wyciera dobrze, po wyschnięciu słomą, lub lepiej myszyńcem (psianka, słodkogorz — solanum dulcamara), którego kora ma woń myszy — albo w braku tego nawozem końskim.

Żelaza sprowadzam od Grella w Haynau na Śląsku pruskim, które je sprzedaje pod nazwą Nr. 116 — z obłąkami bez kolców, tylko z grubymi zębami, wchodzącymi jeden w drugi. Razem z łańcuszkiem i kotwicą kosztuje takie żelazo 6½ marki. Średnica jego wynosi 22 cm., waga ¼ klg., sprężyna leży pod talerzem, co ułatwia bardzo nastawienie żelaza.

Wybrawszy sobie kilka miejsc na ścieżce, gdzie lis zwykle myszkuje, na świeżo zoranej roli, na wschodzącym zasiewie, obok świeżo wyniesionego obornika w pole, itp. wogóle, gdzie lisy są widywane — idę po południu, mając w worku kilka żelaz, puszkę z witerunkiem, trochę myszyńca, lub końskiego nawozu (Rossäpfel) do odwietrzenia rąk, małą łopatkę czystą drewnianą i duży nóż, dobrze wyczyszczony piaskiem i wygotowany, nie używany do innych celów, zbliżając się do miejsca, obranego na nastawianie żelaza zawsze z wiatrem. Czynią to dlatego, ażeby lis, idący zwykle pod wiatr, nie trafił pierwej na moje tropy, zanim się zbliży do żelaza. Nastawiając żelazo, postępuje się w ten sposób: żelazo zamknięte i zaasekurowane kładzie się na ziemi, kotwicą ku nastawiającemu myśliwemu — klęka się na podścielonym worku — ręce się odwietrza i nożem

obkrawuje ziemię naokoło żelaza. Następnie kładzie się żelazo na boku, a łopatką drewnianą wybiera ziemię z koła nożem naznaczonego t. j. robi się płytkie gniazdo na żelazo, tak, aby takowe 2 cm. leżało głębiej, niż teren. Kotwicę i złożony łańcuch umieszcza się się w osobnym, wykopanym dołku, trochę głębszym, tuż przy żelazie i przykrywa się wszystko lekko ziemią, poprzednio wydobytą, 2 cm. grubą — wstawia się tylko zakrętkę przytrzymującą nastawioną sprężynę, nie zupełnie przykrytą. Rozumie się, samo przez się, że przed umieszczeniem żelaza w gnieździe takowe musi być nastawione, t. j. talerz musi być schwycony przez zatrzask, a zakrętka wówczas wolnieje i tylko przeszkadza, aby się żelazo nie zamknęło. Po wyrównaniu kijem całego miejscą, kładzie się na powierzchni w tem miejscu, gdzie jest ukryta kotwica, kilka kawałków ponęty, czyli witerunku. Na samym końcu odkręca się zakrętkę na bok i przysypuje ziemią. Uważać bardzo na to potrzeba ażeby miejsce, w którem nastawiono żelazo, nie różniło się niczem od otoczenia t. j., aby nie znać było ludzkiej ręki. Powłóczki niezbędne przy innych łapkach, są tu zupełnie niepotrzebne i lis złapie się z pewnością, jeżeli miejsce dobrze wybrane, a żelazo zgrabnie nastawione. Żelazo można zostawić w jednem miejscu kilka dni nastawione, gdyby zaś do dni kilku lis nie wpadł w żelazo, to albo witerunek zły, albo źle żelazo nastawiono, albo miejsce źle wybrane. Złe nastawienie żelaza krytykuje sam lis przez odgrzebanie takowego, co nie zbyt jest pochlebnem świadectwem dla myśliwego. Na dobroci witerunku bardzo wiele zależy, bo ten ma lisa do żelaza sprowadzić. Dobroć witerunku zawisła jest od silnej, a długotrwałej woni, dla lisa ponętnej n. p. ścierwa w rozkładzie, gnijących ryb etc. Witerunków rozmaitych jest bardzo dużo — Niemcy w każdym podręczniku łowieckim, podają całe setki recept na witerunki, których zwykły śmiertelnik, bez pomocy aptekarza nie zrobi. Jest w tem jednak wiele przesady. Doskonały witerunek robi się z kota. Kota obciągniętego ze skóry, sieka się na kawałki, wielkości orzecha włoskiego, wkłada się do nowego garnka glinianego, zawiązuje dobrze pęcherzem i zakopuje w gnoju końskim, na kilka dni. W gorącu, jakie się w świeżym końskim gnoju wywiązuje, rozkłada się kocie mięso szybko i czuć je tak silnie, że doskonale może służyć za przynętę. Jeszcze silniejszy jest witerunek z ryb. Świeże ryby kraje się na małe kawałeczki i wrzuca do mocnej flaszki, najlepiej ze szampana, zatyka korkiem i umocowuje korek drutem. Flaszkę tę zakopuje się do nawozu końskiego na parę tygodni, po którymto czasie przemienią się kawałki ryby w rodzaj oliwy. Tą oliwą smaruje się kawałki siekanych nóżek baranich, grzanki chleba itp. Flaszkę należy ostrożnie odtykać, aby gazy, które się wywiązały w zatkanej butelce, nie wysadziły korka i nie poplamiły rąk lub sukien, bo tego piekielnego fetoru siarkowodoru, którym „pachną" zgniłe ryby nie można długi czas niczem wywabić, ani zagłuszyć. W lecie robimy witerunek z kota innym sposobem. Mięso kota pokrajane w kawałki, wkłada się do innego nowego garnka, nakrywa pokrywą i zalepia gliną. Garnki stawia się na słońcu, na parę tygodni — przez co mięso zamieni się w mętną masę, do której następnie dodaje się, na każdy garnek, parę kropli anyżkowego olejku i szczyptę, umielonego na proszek, korzenia fiołkowego. Na zapas garnki te trzymać potrzeba dobrze zawiązane pęcherzem, w miejscu wilgotnem i strzedz, aby się robaki nie zagnieździły.

Kto nie chce się babrać z robieniem witerunku, co nawiasem powiedziawszy wcale do przyjemnych zajęć zaliczyć się nie da, może sobie sprowadzić gotowy witerunek od Grella, razem ze żelazami. Puszka kilogramowa kosztuje 6 marek.

Są to siekane nóżki baranie — czy jest tam jeszcze co — nie mogę ocenić — faktem jest jednak, że ponęta ta jest doskonałą. Wartość jej zapewne może razem z puszką blaszaną wynosi co najwyżej 20 ct. i za to każe Niemiec płacić aż 6 marek — z transportem i cłem przeszło 9 koron, przyznać jednak muszę, że witerunek jest dobry i wszystko na niego idzie: lisy, psy, kruki, kuny, tchórze etc.

Powyżej podana metoda łapania lisów w denkowe żelaza, jest bardzo dobra od wiosny do mrozów. Gdy ziemia zamarznie, żelaza ziemią przykryte zamarzają także i nie funkcyonują. Można wprawdzie do przykrycia żelaza używać w porze mroźnej trocin z mrowiska, przezto jednak żelazo, a raczej miejsce, w którem ono nastawione, ma odmienny wygląd od otoczenia i może lisa odstraszyć — wypadałoby więc żelaza stawiać w mrówiskach w lesie — co jednak ma tę niedogodność, że kotwica zaczepia się silnie o korzenie drzew i złapany lis najczęściej się wydobędzie, zwłaszcza jeśli się wysoko złapie. Jeżeli już kto chce koniecznie i w zimie, na mrozie, lisy łapać w lesie, musi obok siebie nastawić 2—3 żelaza — wskutek czego jest prawdopodobnem, że złapany lis, szamocąc się w jednem żelazie, wpada w drugie. Mnie trafiło się to raz z lisem, drugi raz z kuną.

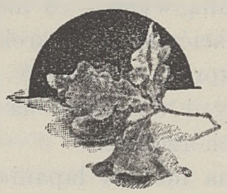
Cały proceder manipulowania z żelazami jest bardzo łatwy. Tak n. p. strzelec p. Sołowija z Kamionki, który w swojem życiu nigdy z żelazami nie miał do czynienia — był u nas tylko kilka godzin na nauce — a jednak tak rzecz dobrze zrozumiał, że zaraz w ciągu tygodnia złapał w swojej straży 5 lisów i 2 psy.

Dobre żelazo nie powinno mieć zbyt mocnej sprężyny, aby nie gruchotało kości, w którym to wypadku lis łatwo może się wygryść — zwłaszcza, jeżeli się kotwica silnie zahaczy i stały opór stawia lisowi, starającemu się ze żelaza wydrzeć. Z tego to powodu lepiej stawiać żelaza w otwartem polu, niż w lesie, gdyż kotwica bardzo łatwo się o korzenie, lub drzewa zahacza. Obserwowałem lisa, złapanego w żelazo w polu i przekonałem się, że lis kręci się więcej na miejscu w kółko, starając się uwolnić zahaczoną kotwicę. Jeżeli nie ma, gdzie w pobliżu krzaka, rowu etc. — lis zmęczony przywaruje i tak czeka swego końca. Lis gryzie złapaną łapę, nie nad żelazem — ale część martwą pod żelazem, więc choć i odgryzie martwą część — nie może się wydostać, jeżeli zahaczone żelazo nie stawia oporu.

W zimie trują lisy na śniegu strychniną, na wróble i na śledzie – co trzeba zmieniać — to jest, gdy się jaki lis struje na wróble, odmienić powłokę i ponętę. Na powłokę używa się patrochów sarnich, lub zajęczych, dobry także kot pieczony. Żadna strychnina nie zabija piorunująco, zawsze lis odejść może jeszcze i kilkaset kroków. Aby lis dłużej bawił na jednem miejscu i trucizna miała czas działać — dobrze jest, obok ponęty zatrutej, porozrzucać kilka lub kilkanaście

grzanek nie zatrutych, aby lis zatrzymał się dłużej na miejscu, zbieraniem tych grzanek. Grzanki robi się z kawałków pieczonego kota, wątroby zajęczej lub sarniej, smażonej w niesolonym smalcu gęsim, lub maśle śledzia — wreszcie chleba smażonego, z dodatkiem odrobiny cebuli. W każdym razie trutkę nie podniesioną przez lisa, potrzeba pozbierać starannie, gdyż można sobie inaczej narobić licha. Im pora mroźniejsza, tem lepsze widoki powodzenia.

Kazimierz Remiszewski.



Łowy w Karpatach.

Na podstawie doświadczeń, poczynionych przezemnie i przez moich łowieckich towarzyszy, uważam rysia, najbardziej po niedźwiedziu interesujące karpackie zwierzę — za najbardziej ostrożne. Nie zwraca on uwagi na wiatr, a tak samo nie lubi wytężać wzroku.

Tej nonszalansyi rysia dowodzi następujące zdarzenie w r. 1854, z początkiem października. Nim nagonka ruszyła — otarł się truchtem biegnący ryś, w ten sposób o nogi mego przyjaciela, że pozostało na na nich kilka włosów z jego sierci. Zanim zdziwiony myśliwy zdołał złożyć się doń — strzelba oparta była o drzewo — już znikł ten, tak dla zwierzostanu niebezpieczny rabuś, w gąszczach, z przeciwnej strony linii. Strzał, dany na chybił trafił, nie odniósł skutku, a gdy mój przyjaciel zaczął nabijać strzelbę po strzale, przesadził drugi ryś scieżkę w odległości może 30 kroków, lecz uszedł niestrzelony. Dopiero, gdy miot wzięty był do połowy, dał trzeci, młody ryś sposobność memu, przez Dyanę dnia tego tak odszczególnionemu myśliwemu, do pomszczenia się.

Dwa lata później, w rewirze „Taniawa“ około minuty drogi od Bolechowa, nadbiegł truchtem, z tyłu na jakich 28 kroków na mego kolegę, przy bardzo złym wietrze, stary ryś. Na szmer zwierzyny, w suchych bukowych liściach, zwrócił się mój przyjaciel ze strzelbą gotową do strzału i położył rysia, którego się domniemywał, z dymem — ale prawdopodobnie zgórował. W dość gęstych krzakach tarzał się zwierz kilka sekund, a myśliwy zwlekał ze strzałem, dopóki ryś nie nastręczy sposobności do dania pewnego strzału. Lecz nagle ryś zniknął, nie nastręczywszy tej sposobności wcale. Po skończonym miocie wypuszczono psa ks. Edmunda Schwarcenberga, starego wyjadacza, na trop rysia. Lecz ku ogólnemu zdziwieniu, ten zresztą tak dzielny pies nie podjął się odnalezienia śladu europejskiej pantery, a zjeżywszy sierć i wciągnąwszy ogon pod siebie, nie próbował ani kroku ruszyć naprzód.

W ten sposób przepadł dla polowania ryś, wśliznąwszy się prawdopodobnie w wykroty, które znajdowały się około 100 kroków od miejsca, gdzie został strzelony, a silny deszcz, który zaczął padać kilka minut później i spóźniona pora nie pozwoliły na dalsze poszukiwania.

Trzecie miejsce w rzędzie drapieżników karpackich zajmuje wilk. Jest to ogólnie znany fakt, że wilk pierzcha na widok człowieka. Wyjątkowo atakuje ludzi, gdy głodem wycieńczony, wśród srogiej zimy, schodzi gromadami z gór na płaszczyznę.

Pomimo to znane mi są dwa wypadki z lat 1856 do 1858, które stwierdzają, że każda reguła dopuszcza wyjątków. Strzelec hr. Sch. znany mi z prawdomówności, znajdował się raz późno już po południu, na zasiadce, aby zastrzelić upatrzonego lisa.

Jeszcze słońce nie zupełnie zaszło, gdy usłyszał poza sobą, w odległości około 100 do 120 kroków, jakieś głosy szczególne, które zdawały się pochodzić z tłumienia się psów. Głosy te skłoniły dzielnego strzelca, Laitla, do podejścia ku temu miejscu. Przedzierając się ostrożnie przez gąszcze, doszedł wkrótce do polanki mającej około 60 kroków długości, a 40 szerokości, na której bawiły się dwa tęgie wilki. Zmierzywszy do wilka, będącego na przodzie, zagrzmiał z dzielnej „Ferlachówki“. Wilk wyjąc, padł z dymem na przednie łapy i zniknął w najbliższej chwili w gąszczach, odległych o kilka kroków. Strzelec nie zdołał nawet zauważyć dokładnie miejsca, w którem znikł wilk, gdyż już w dwie sekundy po strzale, zaatakował go drugi wilk. Atak ten był tak szybki, że strzelec zaledwie miał czas odwieść kurek śrótem naładowanej lufy, z której wpakował nabój w głowę wilka, będącego już całkiem blisko. Nazajutrz rano znalazł Laitl zdechłą wilczycę, kilkaset kroków od miejsca, w którem ją strzelił. Był to właśnie czas ciekania się, a basior zaatakował myśliwego z tak szaloną odwagą, by pomścić rany zadane towarzyszce. Mniej więcej dwa lata później przeszukiwał ten sam myśliwy w początkach jesiennego ciągu słonek, stary mieszany drzewostan, gęsto podszyty. Jego doświadczony pies, pewny tropiciel, zniknął mu na chwilę z oczu, lecz zaraz potem usłyszał szczekanie z niewielkiej odległości, a następnie trwożny skowył coraz bliżej siebie. Myśliwy nie miał jeszcze czasu zdać sobie z tego sprawy — gdy ujrzał o ośm kroków od siebie, psa leżącego na ziemi i wyjącego z bolu, a nad nim wilka z zatopionymi w karku jego zębami.

Strzał śrótowy, wymierzony w głowę wilka przeniósł go wprawdzie w sfery, gdzie nie ma myśliwych, lecz równocześnie i wiernego psa w sfery — gdzie nie egzystują wilki. Dziedziczna nieprzyjaźń między wilkiem, a psem uczyniła wilka szalenie nieostrożnym i przyprawiła go o zgubę.

W początkach października tj. w czasie, gdy nie są nękane głodem, rzadko kiedy ukazują się wilki w pobliżu miejsc zamieszkałych przez ludzi.

Nawet, jeżeli to się zdarza, to chyba wtedy, gdy odbywające się w pobliżu polowanie, spowoduje wilki do opuszczenia lasu, a i wtedy szukają napowrót schronienia w lesie, nie usiłując popełnić rabunku. A jednak zaznałem uwagi godnego wyjątku i od tej reguły w biegu października 1857 r. Wieczorem dnia poprzedniego, a częścią tegoż dnia, zebrali się uczestnicy naszego łowieckiego towarzystwa w „Bani-Lisowicach“ i zaraz po spożytem o godzinie 8 śniadaniu, udaliśmy się,

częścią wierzchem, częścią na wozach chłopskich, zaprzężonych w miejscowe koniki, na otwarcie polowania na słonki, do odległych $1\frac{1}{2}$ mili „niniowskich chaszczów", gdzie wedle poczynionych doświadczeń, można było z początkiem jesiennego ciągu znaleść najwięcej słonek.

Gdy polowanie miało się ku końcowi, około godz. $3\frac{1}{2}$ po poł. nadbiegli w szalonym galopie dwaj chłopi ze wsi Lisowic. Dopadli koni, by wezwać naszej pomocy przeciw czterem wilkom, które tuż w bliskości wsi, dwie krowy, pasące się zresztą bydła na łące, zwaliły na ziemię i zaczęły je pożerać, mimo krzyków i wrzasków, jakie wydawali mieszkańcy całej wsi, w liczbie około 60. Posłańcy twierdzili, że zuchwałe bestye nie dały się odstraszyć, mimo, że gromada z 20 ludzi, uzbrojona w widły, łopaty, ryskale itd. zbliżyła się do nich na 50 kroków, lecz że wyszczerzyły zęby i w ten sposób zmusiły chłopów do odwrotu.

Gdyśmy przybyli do wsi, zmrok już zapadał, więc nie można było myśleć o ściganiu wilków, które tymczasem, wedle podania chłopów, schroniły się od pół godziny w lesie „Piła" odległym około 200 kroków od miejsca, w którem uśmierciły krowy.

Odbyliśmy naradę wojenną, celem zdecydowania, co nazajutrz mamy przedsięwziąć, by wilki dostać przed lufę.

Z mięsa krowiego pozostała jeszcze dobra połowa; należało przypuszczać, że pod koniec nocy zechcą zabrać te resztki. Włościanie jednak, którzy ponieśli szkodę, postanowili reszki ze zdradziecko uśmierconych krów powlec do wsi, by przynajmniej cokolwiek z mięsa i skór zużytkować. Składka, którąśmy między sobą dla poszkodowanych urządzili i zapewnienie, że otrzymają rządową premię za ubite ewentualnie przez nas szkodniki, pozwoliła im do godz. 7-ej rano zapomnieć o nadjedzonych krowach. Kwadrans przed wschodem słońca, znalazłem się na mym hucułku, na miejscu popełnionego mordu i skonstatowałem ku memu zadowoleniu, że wilki uniosły część mięsa na śniadanie, po szronie zaś, który pokrywał łąkę, poznałem, że wilki ukryły się w lesie Piła. Znaleźliśmy rzeczywiście rabusiów w tym wspaniałym lesie, udało im się jednak przy pierwszym miocie, wymknąć przez nieobsadzone miejsce. Gdy jednak żaden strzał nie padł, a bestye były zbyt ociężałe skutkiem obfitej, w ostatnich godzinach spożytej uczty i już 3000 kroków od pierwszego miotu urządziły legowisko, przeto już w drugim miocie wyszły trzy okazałe egzemplarze (każdy po 72 i 80 wied. funtów), a tylko jednemu udało się umknąć w sąsiedni rewir.

Dwa pierwsze wilki zastrzelili myśliwi na froncie już z początkiem miotu, trzeciego, który ukazał się ku końcowi, zrulował strzałem śrótowym — jak zająca — myśliwy, prowadzący nagonkę.

Łowy te były najwydatniejsze ze wszystkich łowów wilczych, przy których uczestniczyłem; przy wszystkich innych padał tylko jeden wilk. Jedno z polowań tych było godnem uwagi, ze względu na wagę ubitego wilka. Zastrzelił go na polowaniu, urządzonem na niedźwiedzia, dwoma kulami, ówczesny porucznik baron Egkh w listopadzie r. 1858. Wilk ten ważył ni mniej ni więcej, tylko $99\frac{1}{2}$ wied. funtów. Niedźwiedź sam, nie strzelany i nie widziany przez myśliwych przedarł się przez linię naganiaczy, którzy opowiadali, że gdy go ujrzeli, naderwał już trochę rozpłataną, dużą lochę. Dwa wilki siedziały wprawdzie w pobliżu, lecz ilekroć chciały się zbliżyć, odpędzał „medwid" mruczeniem „wowki".

Opowiadanie to okazało się zbliżonem do prawdy, gdyż „corpus delicti", to jest rozdartą i nadjedzoną samurę przynieśli nam górale, a porucznik Egkh przypomniał sobie, że w kilka minut po wielkim wrzasku, wydanym przez naganiaczy, gdy niedźwiedź przedzierał się przez ich linię, ujrzał przelotnie w krzakach jakieś zwierzę, które podobne było do wilka.

Polowanie na dzika, jest jeszcze bardziej interesujące od polowań na wilki i rysie. Dziki spotykamy w jesieni i w zimie w latach, w których bukwie i żołędzie obiecują obfity żer, w licznych rudlach na stokach i u podnóża całego łańcucha karpackiego, między Tarnowem a Kołomyją. Im dalej ku wschodowi, tem dzik staje się rzadszy, natomiast spotykamy częściej szlachetnego jelenia, dla którego lasy radowieckie i sąsiednie rewiry lasowe stanowią prawdziwe eldorado.

Kilkakrotnie widziałem na polowaniach, w stryjskim i samborskim powiecie, rudle dzików w ilości ponad 20 sztuk, raz nawet rudel z 34 sztuk, które w odległości 250 kroków pojedynczo w głębokim śniegu defilowały. *Es.*

W N-rze 21 umieściliśmy już pierwszy artykuł pod tym samym tytułem, wydrukowany w dwutygodniku celowieckim „Weidmannsheil", który często zajmuje się stosunkami łowieckimi w Galicyi, sądząc, że znany teren i znane nazwiska zainteresują naszych szanownych czytelników. Za opisy niektórych faktów, szczególniej w poprzednim artykule, nie bierzemy oczywiście odpowiedzialności. *Red.*

Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z d. 5 grudnia 1902. Przewodniczy Prezes hr. Stanisław Stadnicki, obecni wiceprezes p. Krogulski i członkowie Wydziału pp. Goralczyk, Klusik-Orzechowski, Miziewicz i Szczerbicki.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia odczytuje p. Krogulski odmowną rezolucyę Wydziału krajowego na prośbę Towarzystwa o przyznanie na cele łowiectwa pewnej kwoty z funduszu uzyskanego za karty łowieckie. Wywiązuje się obszerna dyskusya, po której uchwalono wystosować do Wydziału krajowego odpowiedź na tę rezolucyę. W sprawie zaległych wkładek uchwalono ściągnięcie wkładek od tych członków, którzy przez lat kilka ich nie opłacają, „*Łowca*" przyjmują, a na pisma Wydziału Towarzystwa nawet nie odpowiadają, poruczyć p. syndykowi Towarzystwa. P. Krogulski wnosi, aby dla uregulowania gospodarki funduszami Towarzystwa, wysłać numer pierwszy „*Łowca*"

z r. 1903 za zaliczką, uprzedzić zaś o tem wszystkich członków w najbliższym numerze, z podaniem przyczyny tego zarządzenia i prośbą, aby go nie wzięło za złe. P. Miziewicz sądzi, że wielu członków opłaca wkładki w styczniu, że zatem, jeżeli ma się użyć tego środka, należałoby go użyć dopiero w miesiącu lutym, aby tym członkom, którzy regularnie opłacają wkładki nie przysparzać kosztów. P. Krogulski zgadza się z tą poprawką, poczem uchwalono tę sprawę jednogłośnie. P. Miziewicz odczytuje następnie tenor pisma, jakie ma być wysłane do pp. delegatów w sprawie ukonstytuowania się grona delegatów po powiatach -- wobec wyżej podanej rezolucyi Wydziału krajowego uchwala Wydział skreślić ustęp w sprawie kart łowieckich. Wiceprezes p. Krogulski przedstawia stan funduszów Towarzystwa — przyczem p. Miziewicz zwraca uwagę Wydziału, że jest to pierwszy rok, w którym Towarzystwo bez żadnej pomocy i bez zaciągania żadnych zobowiązań rok zamyka. P. Krogulski odczytuje pismo Sądu obwodowego w Stryju do ck. Namiestnictwa o zaproponowanie dwóch przymusowych zarządców polowania w sądowych okręgach Medenice i Mikołajów. Ck. Namiestnictwo zwróciło się do Wydziału Towarzystwa o przedstawienie odpowiednich dla sprawowania tych funkcyi osób. Po dłuższej dyskusyi uchwalono przedstawić ck. Namiestnictwu dwóch kandydatów według wniosku referenta. P. Krogulski odczytuje następnie referat w sprawie dodatkowego zamknięcia polowania w powiecie pilznieńskim — referat ten Wydział uchwala bez zmiany. W końcu uchwala Wydział wydać przychylną opinię co do odstrzelenia 40 łań jelenich w lasach mizuńskich.

Korespondencye.

Kimirz, dnia 5. grudnia 1902.

Jako delegat powiatu przemyślańskiego, poczuwam się do obowiązku, przesłać sprawozdanie o stanie zwierzyny w naszym powiecie. Słonek w tym roku prawie nie było. Sarn jest także znacznie mniej, niż w roku zeszłym, gdyż wiele wyginęło na motylicę. Zato kuropatw i zajęcy mamy bardzo wiele, tych ostatnich zdaje się z tego powodu, że przed dwoma latami lisy na wściekliznę w znacznej części wyginęły. Dnia 13-go listopada, na polowaniu u podpisanego w małym gaiku, w 7 miotach, gdzie zwykle pada po kilka, lub kilkanaście zajęcy, w tym roku w 8 strzelb zabito 41, a mogłoby było paść znacznie więcej, gdyby myśliwi celniej strzelali, gdyż było 126 strzałów. Dnia 15-go listopada w Łahodowie, majątku pp. Hofmoklów, gdzie dotychczas padał zawsze jeden historyczny zając, zastrzelono w siedm strzelb, 26 zajęcy i 4 lisy. Dnia 28-go listopada, polowaliśmy w Kurowicach, u JE. hr. Romana Potockiego. W pięciu polnych miotach, na 600 strzałów, padło 202 zajęcy i 4 lisy. Pierwszy raz w życiu widziałem taką ilość zajęcy, formalnie szły stadami Będąc w Kurowicach, można zapomnieć, że się poluje w Galicyi, ale ma się wrażenie, że się jest w Czechach, lub w innym kraju, gdzie zwierzyna jest od dawna troskliwie pielęgnowaną i stanowi ważną gałęź gospodarstwa krajowego.

Stanisław Wybranowski
delegat.



Lwów, 10. grudnia 1002.

W dniach 12-go 13-go i 14-go listopada, odbyło się polowanie w Rozhurczu, u p. Włodzimierza Barańskiego. Podaję do wiadomości rozkład z odbytego polowania w tak krótkich tylko słowach, ponieważ w swoim czasie podałem szczegółowe zalety gospodarza, jako zawołanego łowca, jakoteż kniei, w której odczute wrażenia z pamięci uczestników zatrzeć się nie dadzą.

Dzień I. Strzelb 13, dzików 4, lisów 6, rogacz 1, zajęcy 6.

Dzień II. Strzelb 11, dzików 6, lisów 10, rogaczy 3, zajęcy 16, jarząbków 1, słonek 1, sów uralskich 1.

Dzień III. Strzelb 7, lisów 14, zajęcy 20, kuropatw 4, kszyków 1.

Na dwudniowym polowaniu w Chocimierzu, w lasach należących do pani Jełowickiej, 26-go i 27-go listopada w strzelb 7 i 8, osiągnęliśmy następujący rozkład: dzików 6, lisów 10, rogaczy 8, zajęcy 37, sów uralskich 2. Nie mogę pominąć milczeniem gorliwości, oraz przychylności, tamtejszego zarządcy lasowego pana Graffa, któremu podziękowanie w imieniu towarzyszy składam. *St. Pieyłowski*

Peczeniżyn, 5. grudnia 1902.

W dniu 14-go listopada b. r. zabił leśniczy zająca (samicę), która, jak się później pokazało, miała w sobie trzy, na pół rozwinięte młode zajączki.

W dniu 15-go tegoż miesiąca, przydybałem jeszcze jednego kszyka, 16-go tak zwanego „jączyka" (Haarschnepfe), a 18-go zwykłą słonkę.

Martyniec.

Gołogóry, d. 7. grudnia 1902.

W miesiącu listopadzie odbyło się polowanie w lasach do dóbr Olszanica, własności Wielebnych Sióstr

Opatrzności należących, w ośm strzelb, na którem zabito 2 lisy i 42 zajęcy. Sarn widziano kilkanaście sztuk, ale nie strzelano umyślnie. Z przyjemnością zaznaczam, że stan zwierzyny bardzo znacznie się podnosi, a zawdzięczać to należy opiece obecnego gospodarza lasu p. Kazimierza Ożgi, który widocznie zadaje sobie trudu i tępiąc szkodnika lisa i inne szkodniki, odstrasza również kłusownika, a w ten sposób tak znacznie podniósł zwierzostan, dawniej bowiem tam zabijano zaledwie kilkanaście sztuk na jednem polowaniu. Dodaję, że polowanie odbyło się w jednej piątej części przestrzeni ogólnej lasów.

Tadeusz Dzięcziołowski
delegat złoczowski.

S o k o ł ó w koło S t r y j a.

Si non e vero e ben trovato, jednak opowiadał mi jeden z moich znajomych ten fakt, cytując miejsce, osoby, i zaręczając słowem, że jest prawdziwy. W pierwszym dniu polowania postrzeliwuje lekko p. A. *(nomina sunt odiosa)* p. B., człowieka starszego, poważnego i bardzo dobrego i wytrawnego myśliwego. P. B. konstatuje fakt, a p. A. tłumaczy się, przeprasza — i sprawa bardzo cicho i spokojnie załatwiona. W drugim dniu polowania p. A. postrzeliwuje, ale znów lekko tylko p. C., swojego bliskiego sąsiada, młodego człowieka i początkującego myśliwego — p. C. mocno się irytuje, zaczyna wygadywać, jak można codziennie kogoś postrzeliwać — na to p. A.: „widziałeś żem wczoraj postrzelił p. B. — tak poważnego człowieka i takiego sławnego myśliwego i nic nie powiedział, a ty jesteś młokos — nie wart jako myśliwy rzemyka u butów p. B. rozwiązać — a w dodatku jestem z tobą per „ty“ i ty z tak błahego powodu takie wrzaski robisz — kiedy tak, to będziemy od dziś znów per „pan“. Tableau...

S. M.

S o k o ł ó w, 12. grudnia 1902.

Korzystając z śniegu, któregośmy w Stryjskiem już trzy lata nie widzieli — zapolowałem jeszcze raz na dniu 10-go grudnia, w dziesięć strzelb — padło 6 kozłów, 30 zajęcy i sowa uralska. Były trzy dziki w miotach, z tego jednak tylko jeden strzelony, leżał nawet już jako nieboszczyk przed myśliwym — ale się namyślał, potem wstał i mimo, że jeszcze drugi myśliwy poprawiał — poszedł zdychać do sąsiedniego obcego rewiru. Strzałów padło 86.

Stanisław Matkowski.

K r z y w c z a nad S a n e m, 14 grudnia 1902.

Trzynastego grudnia przy trzynastu stopniach mrozu polowaliśmy u p. Bolesława Jocza w Krzywczy nad Sanem — nic dziwnego, ze „pech“ pojawił się już w pierwszym miocie w pobliżu trzynastego stanowiska. Dalsze mioty, a zwłaszcza trzy ostatnie, w których roiło się od sarn, poprawiły sytuacyę i podtrzymały reputacyę tej pięknej kniei, a cudowna choć mroźna pogoda przyczyniła się do ożywienia humorów myśliwskich. Tylko zające strejkowały, a rogacze niepomne klęsk zeszłorocznych szły — jak zwykle — sznurkiem na radcę dworu Lanikiewicza i Kazimierza Agopsowicza... Na rozkładzie znalazło się ich 9 (w tej liczbie 3 nie zrzuciły jeszcze parostków), 2 lisy i 8 zajęcy. Na koniec jeszcze jedna trzynastka: z 14 obecnych myśliwych 13 strzelało, a jeden czyste lufy powiózł do domu.

L. Ł.

†

Bruno Zdziarski.

Dnia 8-go listopada b. r. pożegnał się z tym światem śp. Bruno Zdziarski, zarządca dóbr JE. hr. Romana Potockiego w Sołowej.

Zmarły był członkiem długoletnim Towarzystwa łowieckiego i jednym z tych ludzi, dla którego cześć i pamięć u znajomych nigdy nie wygaśnie.

Serce miał złote, duszę szlachetną, — najlepszy brat i przyjaciel, — nadzwyczaj gościnny i zawsze gotów do udzielenia swej pomocy każdemu, kto tylko jej potrzebował.

Dla ludu, z którym się nieustannie stykał, był przyjacielem i umiał pogodzić obowiązki swe z jego potrzebą. Lud też ten ukochał go zato szczerze i przybył tłumnie ze wszystkich stron, aby mu oddać ostatnią usługę.

Znakomity agronom i myśliwy, był nadto śp. zmarły wszędzie jak najmilej widziany i jak najserdeczniej witany. Nie było też prawie żadnego polowania w dobrach tutejszych, jakoteż i w sąsiednich, w którychby nie brał udziału. Jemu też każdy kierujący polowaniem w dowód czci i dla celności jego strzałów, — w czem był mistrzem — przeznaczał jak najlepsze stanowiska, a po skończonych łowach zbierała się w domu jego bardzo często liczna drużyna myśliwska, na pogawędkę i wesołą zabawę.

W kołach, w których śp. zmarły żył, pozostawia zgon tego zacnego człowieka żal powszechny, a w szeregach myśliwskich powstała luka, którą nie tak łatwo będzie można zapełnić.

Umarł w sile wieku licząc lat 43.

Cześć jego pamięci.

R. K.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

„SARNIE SKÓRY“ kupuje każdej ilości, H. WIERZYCKI, Tarnów, ul. Klikowska 10.

Zarząd dóbr Ossowce poszukuje puhacza zdatnego do polowania — poczta w miejscu.

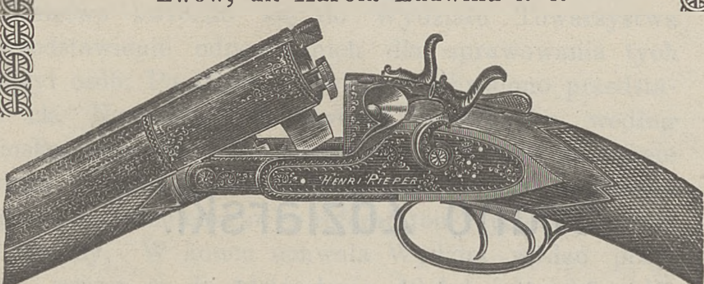
POSZUKUJĘ PSÓW ułożonych tylko na dzika. Zgłoszenia Administracya Łowca.

SZCZENIĘTA RASY BLACK AND TAN GORDON-SETTER, czarne rdzawo podpalane ur. 15-go października 1902 po premiowanych i doskonałych w polu rodzicach (Field-Trial). MATKA BLUE — BELL OF RADCLIFFE Oe. H. S. B. 3778. pięć I. nagród i nagroda honorowa w klasie zwycięzców; ojciec SWIT OF DEINHAM Oe. H. S. B. B. XX., dwa najwyższe odznaczenia pochwalne — do sprzedania. Szczenięta te posiadają rodowód (Pedigree) z 54 przodków zapisanych w Oe. H. S. B., D. H. S. B. i K. C. S. B. — Wiadomości udzieli Zarząd „Kennel My Darling“ Stanisław Kowalski, Kraków, Pańska 10.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Skład win herbaty i rumu

PIOTRA MIKOLASCHA i Sp.

we Lwowie

poleca w najlepszych gatunkach

herbatę chińską i ceylońską

firmy C. Trau w Wiedniu

C. k. austr.

i ces. japońskiego nadwornego dostawcy

po cenach oryginalnych.

Herbata Congo Nr. 3 . . .	½ kilo K.	3.—
„ Souchong Nr. 4 . .	„ „ „	3.—
„ Wysiewki Nr. 2 . .	„ „ „	2·50
„ „ Nr. 1 . .	„ „ „	3·50
„ Ningchow wysiewski	„ „ „	4.—
Pecco Congo Nr. 1	„ „ „	5.50
Herbata kwiatowa przednia .	„ „ „	6.—
Sansinsky Nr. 1	„ „ „	7.50
Herbata Melange czarna wybrana dla **Kasyna Narodowego** .	„ „ „	9.50
Herbata Moning Nr. 1 najprzedniejsza z nowego zbioru .	„ „ „	9.50

do nabycia w paczkach po ¼, ⅛, $^{1}/_{16}$ Kilo.

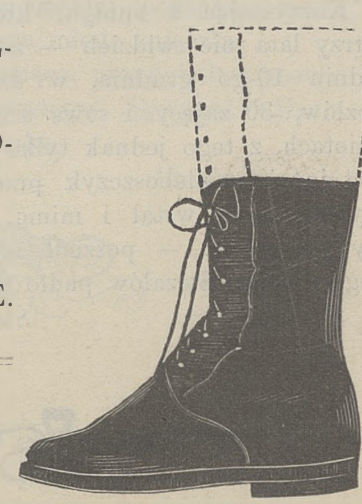
Zamówienia od 20 K. franco i opłatnie.



KAPELUSZE, CZAPKI, FILCOWE i LODENOWE.

BUTY i BERLACZE DO POLOWANIA.

KALOSZE PETERSBURGSKIE.



POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.